NUMER 34. DNIA 21. SIERPNIA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Z ZAKOPANEGO.

— Znacie Zakopane?

— Znamy!

— Czytaliście o niem nieraz?

— Naturalnie!

Więc powtórzymy sobie tę przyjemność.

Właśnie przyjechał po raz pierwszy do Zakopanego człowiek, który zwiedził już kawał świata europejskiego.

Po dwóch dniach już błagał spotkanych znajomych, aby nie fatygowali się słowami:

— Jak się panu Zakopane podoba? bo mu to pytanie obrzydło aż do idjosynkrazji, a raz dodał:

— Dlaczego nikt mi nie powiedział dotąd, że Zakopane jest właściwie niedokładnym zarysem miasta w przyszłości? Jeżeli mam je traktować jako miasto, w takim razie podoba mi się szalenie. Czuję się tu przeniesionym w tę błogą przyszłość, kiedy ludzie oglądać będą na wystawach retrospektywnych modele miast dzisiejszych, wzdychając nad niedolą swoich pradziadów, wynikającą (jak większość ludzkich niedoli) z ich własnej winy.

Dziwić się będzie nawet smyk z drugiej klasy, że ludzie dorośli, którzy pisali grube dzieła o hygjenie i zakładali towarzystwa hygjeniczne, tak skąpili powietrza płucom, oczom zieleni, a słuch swój tępili hukiem pojazdów, tłukących z rozpaczliwą zaciętością twarde głazy bruków. Hałas ten nawet podobał się niektórym, widok wielkiej liczby ludzi, przenoszących się z miejsca na miejsce nazywali pięknym objawem życia; w ciszy widzieli jakoby jego przeczenie.

Jednakże już w tych mrocznych wiekach byli mądrzy myśliciele i pisali, że „tylko w ciszy tworzą się wielkie rzeczy“.

Tak mówił nowo przybyły, ocierając się o krowy, o damy w jedwabiach, furki i dorożki, uwijające się po Chramcówkach.

Kiedy jednak wszedł na Krupówki, przystanął i przetarł oczy.

— Zdawało mi się, że jestem w Pacanowie! — zawołał. Czy widział kto zbiór równie brzydkich budowli! Duchy drzew, z których sklecono te mieszkalne okropieństwa, przychodzą tu w noc burzliwą i zawodzą żałośnie nad upokorzeniem, które ciało ich spotkało.

— Można znaleźć kilka innych ulic do Krupówek podobnych.

— O tak! nie wątpię o tem. Niezmierzoną jest bowiem ilość bezmyślnej brzydoty, stworzonej ręką ludzką. Piękno jest dla ludzi nie tyle kwestją sporną, ile przedewszystkiem odświętną. Może niejeden z mieszkańców nawet Krupówek lubi popatrzeć na piękny budynek, kościół, pałac, gmach jakiej instytucji, ale ani myśli męczyć kogo należy pragnieniem estetycznej dla siebie siedziby. Mieszka tak, jak Piotr i Paweł — nie ma na zbytki!

— To też my z naszych miast uciekamy.

— Jako z więzienia, które sami wystawiliśmy sobie. Człowiek, który nie znosi gór musi od nich uciekać, bo nie w jego mocy zrównać je z nizinami, ucieka od przykrego dlań morza, bo zasypać go nie zdoła, gdyby tylko na takie ucieczki był narażony, nie miałby prawa urągać życiu. Ale on często przez życie całe pragnie uciekać z więzień, jego własnym konceptem, jego własną wolą wystawionych, oto jest tragizm ludzkiego życia. Ludzie ogromnie narzekają na traf, wypadek, los, na ten los okrutny, jak gdyby sami byli marjonetkami bez woli. Jakie ogólne wrażenie dają nam ci wszyscy przechodnie? Ludzi zadowolonych. Czy dla tego tylko, że nic nie robią? Bynajmniej. Bezczynność jest śmiertelną nudą dla ludzi, oczywiście nie w znaczeniu zoologicznem tak ich nazywam.

To warunki, w jakich pracują, każą im przeklinać pracę.

A kto te warunki wytworzył?

Mówią, że gdyby koń znał swoją siłę nie dał by się zaprządz, a gdyby człowiek znał swoją siłę, nie ulegałby na każdym kroku losowi. Właściwie los narzuca nam tylko jedno niezwalczone nieszczęście, t. j. śmierć. Poza nią wszystko jest lub będzie w naszym ręku, co nas dotyczy. Obecnie ogólnem hasłem walk bezorężnych jest zmiana warunków ekonomicznych we wszystkich krajach cywilizowanych. Chciałbym jednak, aby jednocześnie prowadzono propagandę, jak należałoby korzystać z ulepszonych podstaw bytu materjalnego. Sytość jeszcze nie daje człowieczeństwa, chociaż przyznaję, że bez niej istnieć ono nie może. Jestem pewny, że wśród tych przechodniów, należących w ogóle do klas posiadających, wielu bawi się tylko życiem; są jak dzieci, wpuszczone do sklepu z zabawkami, których używać im wolno. A więc nie są jeszcze ludźmi.

Przyjechali tutaj zmienić teren zabawy. Więc mi żal, że Zakopanego używają ci właśnie, którym jedno, gdzie się bawią a nie ci, których zmęczone pracą nerwy i oczy tęsknić każą do swobody gór i lasów. *A. Morzkowska.*

Z dróg.

Z raportem.

Zmrok gęstą pajęczyną zasnuwa step biały,
zawieja śnieżna huczy, smaga, w oczy pluje,
koń rozdął nozdrza, węszy, leci oszalały,
starganą grzywą wstrząsa, z wichrem się mocuje.

W oddali wilki ciągną wygłodniałą zgrają;
łopoczą poły-skrzydła rozwianej lisiurki,
skostniałe, silne dłonie na pierś je ściągają;
z olstr, jak kły z paszczy, błyszczą odwiedzione [kurki.

Zawieja huczy, wyje, mroki wciąż gęstnieją,
jeździec łeb konia głaszcze i mówi z pieszczotą:
„ty mi dziś, przyjacielu, jedyną nadzieją!“ —

i czoło ocierając, wzrok śle w dal z tęsknotą.
To nie w turnieju pląsy, step wielki — nie [szranki,
w zanadrzu — nie płomienny liścik do kochanki!

Przechadzka.

W noc, księżycem srebrzystą, majem rozmarzoną
duszno w świetlicy, w sadzie, — idą więc za wrota,
kędy w końcu alei gaśnie zorza złota,
a miesiąc skrył swą bladość za liści zasłoną.

Ona rozwiany warkocz na paluszki mota,
wznosząc w górę twarz białą, szczęściem rozja- [śnioną,
jemu w zachwycie oczy, jako gwiazdy, płoną,
jakby miał iść w światłości po koniec żywota.

Wonią, blaskami wiosna-czarodziejka śpiewa,
serca drżą, drogę ściele biały kwiat jabłoni,
szelestami rosnących pędów szepczą drzewa.

Jasna głowa z miłością, z ufnością się kłoni
na pierś męską, co ciepłem miękki włos owiewa,
gwiazdy patrzą na szczęście połączonych dłoni...

Spotkanie.

Przegrodziła wąska grobla trzęsawisk topiele,
kędy wabi błędny ognik, niby żywa zdrada:
to srebrzystą, drżącą smugą aż na drogę ściele,
to się zwinie w kłąb i w bagno bez śladu prze- [pada.

Od tej strony, hen, z obozu koń by strzała [pędzi,
z drugiej — sołdat się przyczaił, wstrzymał kroki [w biegu,
obryzgany błotem pełza po grząskiej krawędzi;
nagle zadrżał, słyszy rozkaz: „Stój, ty wraży [szpiegu!“

Stanął, twarzą pobielałą świeci w nocnym mroku,
w kołnierz płaszcza z trwogą kryje skroń, oblaną [potem,
a z rękawa lufą mierzy... „Stój, dalej ni kroku!“—

wycelował... huknął wystrzał!... Z moczaru z ło- [potem
stado kaczek się porwało. Z konia też strzał leci,
lecz celniejszy... Ścichło... Bagno zdradne ognie [nieci!

ZOFJA P.

MAURYCY HARTMANN.

KRÓLEWNA.*)

Z NOTATEK TURYSTY.

...Z Belfast kolej żelazna przenosi cię w kilka godzin czasu do Antrim, starożytnego miasta, zbudowanego niegdyś przez Celtów. Prócz tego, że tak domy, jak mieszkańcy wyglądają staroświecko i ubogo, podróżnik nie ma tam nic szczególnego do oglądania, za to dzień, w który on się tam da widzieć, zaznacza się uroczyście w pamięci ludności. Do okien, których przepalone, stare szyby, są często zaklejone papierem, cisną się biedne, mizerne twarze, ze spojrzeniem ciekawie zadziwionem, nieraz nawet słyszeć się daje w pół dziki wykrzyk tej ciekawości. Dzieciaki, bawiące się w koszulkach przed domami, uciekają z przestrachem i kryją się pod fartuchy matek, stojących na progach. Na rynku miasta, gdzie trawa spokojnie puszcza się między brukiem, dwóch uzbrojonych konstablów przechadza się, ziewając. Odpowiadają z uśmiechniętą uprzejmością na zapytania podróżnika i występują przed jego oczyma, jako jedyni reprezentanci nowoczesnej cywilizacji.

Nie przybywa się tu przecież w celu oglądania Antrimu, lecz dla zwiedzenia Laugh Neagh, największego jeziora Irlandji, każdy też przebywa tylko miasto, spiesząc na jego wybrzeża. Spuszczając się po pewnej pochyłości gruntu, wchodzi się do jakiegoś rodzaju przedmieścia, złożonego z chat, lepionych z gliny i wcale bez okien — z powodu podatku, który się od nich opłaca. Drzwi są zatem wciąż otwarte, w zimie nawet, aby można było widzieć cośkolwiek i dla tego lepianka musi składać się koniecznie z samej izby tylko. W półświetle tych nędznych uchron widzieć można chude kobiety, siedzące w bezczynności. Rzadko ogień, błyskający na kominie, rozwesela chatę taką i jeżeli wszedłszy w podobną ulicę, chcesz dać gdzie jałmużnę, musisz dawać do samego końca na lewo i prawo, bo zewsząd wyciągać się będą ręce wychudłe, kościste, chciwe. Kto wprawdzie zwiedził zachodnie okolice kraju, lub mokradle Castleblanay, przyzwyczaił się już do podobnych widoków. A nawet przedmieście Antrimu wydać się musi zamieszkałem przez ludność szczęśliwszą, skoro podróżnik widział w tamtych okolicach chaty bez dachów, stojące tak setkami wśród bagnisk lub jałowych pól kartoflanych. Wznoszą one w górę swoje szczyty, odarte z rozkazu posiadacza gruntu, i zdają się być rękami, błagalnie w niebo wyciągnionemi, gdy tymczasem wzrok przerażony spotyka tych, którzy zostali z nich wygnanemi i błądzą teraz bez żadnego schronienia na świecie wśród pustyń piaszczystych, lub mokradeł wilgotnych. Są to mężczyźni, kobiety, całe gromady dzieci, podobne do ptaków, którym postrzał śrutu połamał skrzydła i powtarzam, że ten, kto widział takie gromadki prawie nagie, z symptomatami tyfusu, wyrytemi na twarzy, nie przerazi się nędzą przedmieściowych mieszkańców Antrimu.

Wydostawszy się poza miasto, doświadcza się takiego wrażenia, jak gdyby noc stała się nagle dniem, gdyż ulica przedmieścia wychodzi wprost na obszerną łąkę, obrzeżoną gaikami, zaroślami zielonemi, a w głębi błyszczą wody jeziora. Łąka, gaiki i trawniki zielone są ostatniem przedłużeniem parku Shanes-Castle, który od strony północnej otacza Laugh Neagh kwitnącą swą roślinnością. Z tej strony widok jest jeszcze ograniczony, lecz gdy przebyłem groblę, posuwającą się daleko w głąb jeziora, ujrzałem dopiero widnokrąg cudownie rozszerzony. Od strony południowej jezioro, kąpiące brzegi pięciu hrabstw, zdaje się gubić w przestworach bez końca, jak morze. Ani góra, ani las, ani budynek żaden nie oznacza dla oka brzegu przeciwnego; rzadki żagiel, posuwający się w tym kierunku, zdaje się płynąć w podróż daleką, a mgły, wśród których znika, kryją przed wzrokiem ziemię nieznaną.

Tylko brzeg północny urozmaica się ogromnym parkiem, który niegdyś lordowie O'Neil wyprowadzili z łona ziemi piaszczystej, lecz widziany z jeziora wydaje się raczej jakimś posępnym borem okolic północnych, smutną puszczą, która służy za ostatnią kryjówkę ostatnich druidów.

Shanes-Castle, zamek O'Neilów wznosi ponad szczytami drzew gotyckie okna i wieżyczki swoje, ale zniszczony w części przez pożar, stary ten gród zdaje się pilnować jeziora, jak gdyby oczyma, których źrenice zostały wykłute i wcale nie rozwesela widoku.

Wody jeziora, nawet w dzień pogodny są czarne i stąd lud nazywa go *Czarną Wodą*, co wszystko razem sprawia wrażenie, jakgdyby jakiejś krainy mitologicznej. Legenda chrześciańska opowiada, że jezioro Neagh jest dziełem szatana, rozgniewanego stratą duszy, której łupu był już pewnym. Uniesiony wściekłością, porwał kawał ziemi i cisnął go w morze Irlandzkie, z czego wynikła tam wyspa Man, a tu jezioro,

*) Obrazek niniejszy to kartka z pięknej książki francuskiego podróżnika, który przebiegł Irlandję i Szkocję, śledząc tam bacznie objawy ducha galijskiego, budzącego w nim, jako we Francuzie, uczucie braterskiej sympatji. (Przyp. Red.).

Swoją drogą tu, jak wszędzie w tym kraju, głębie wód są zamieszkałe przez wdzięczne duchy elfów, tych aniołów wpół upadłych, za to wygnanych na ziemię i umieszczonych między piekłem a niebem, że w chwili walki archanioła z Lucyferem, trzymały się obojętnie na stronie. W Czarnych Wodach piękne te istoty nie grają żadnej roli ważnej i mieszkają bardzo cicho w kryształowym pałacu. Większe znaczenie posiada w okolicy smętny duch Banshee, białej damy, ukazującej się zawsze, gdy który z O'Neilów ma umrzeć. Duch nie zawsze bywa widzialnym, ale słyszeć się daje jego głos bolesny, który na podobieństwo jęku wichrowego przeszywa trzykroć powietrze i budzi echo żałosne w całej krainie, nad którą niegdyś panował ten ród stary, poczem zanika gdzieś w oddali.

Oczekiwane jest właśnie z dnia na dzień ukazanie się smętnej Banshee, gdyż w starym zamku mieszka już tylko sędziwy starzec, ostatni lord O'Neil. Wygaśnie na nim ostatni naczelnik rodu, ale nie ostatni potomek królewskiego domu Ulster, gdyż cała okolica jest zamieszkałą przez O'Neilów, a wszyscy oni są królewskiego pochodzenia, ci nawet, których widzieliśmy w dantejskich ciemnicach przedmieścia Antrimu. Wszyscy też, jako rodzina jedna, słyszeć będą głos Banshee, w zamku przecież danem będzie hasło inne jeszcze. Jest tam w dziedzińcu, umieszczona w murze, starożytna głowa kamienna z najeżonemi brwiami, głęboko osadzonemi oczyma, z ustami boleśnie wykrzywionemi, oddawna chwieje się ona w niszy swojej, gdy przecież spadnie już i strzaska się, ostatni O'Neil umrze dnia tego.

Stary lord, mieszkając w zrujnowanym zamku, którego uszkodzeń nie naprawia, czeka na hasło swej śmierci: patrzy na kamienną głowę, która się trzęsie, słucha aż od wód Laugh Neagh odezwie się głos ostatniego wezwania. Muszą to być ciężkie godziny tak zbliżającego się końca, jak boleśnie ciężkiem musiało być życie, pędzone w okolicy posępnej, wśród ludu nędznego, nad brzegami wody czarnej!... Wielkie uczucie litości zdjęło mi też serce, na myśl o losie takim i zapytałem się sam siebie, czy istnieje na świecie jakieś okrutne przeznaczenie nieszczęścia, zawieszone nieodmiennie nad głowami osobistości pewnych?

A dumając tak, siedziałem na ostatnich kończynach grobli i dumanie moje przybierało mimowoli ponurą barwę tych wód głębokich, są bowiem krajobrazy smutne, których widok ciąży nad myślą naszą i zwolna oddaje ją na łup trwogom zabobonnym.

Podniosłem się też co prędzej, otrząsając z wrażeń męczących, a tymczasem ostatni żagiel biały zniknął gdzieś w mgle dalekiej, tumany chmurne zdawały się zwieszać coraz niżej, a sosny nadbrzeżne i fale jeziora wyglądały jeszcze czarniej, niż przed chwilą. Na pełnej wodzie widać było tylko jedną łódź samotną, w której stojący rybak wyciągał dużą sieć z wody.

Zawróciłem z powrotem, zmierzając ku kępie brzóz, w których pobliżu woda tworzyła małą zatokę. Lekki słupek dymu zwrócił moją uwagę. Ujrzałem na razie tylko rodzaj okrągłego wzgórka, przypierającego do grobli, przecież patrząc uważniej, poznałem chałupkę, zbudowaną z kamieni i gliny, mieszanej z ziemią. Dach tworzyły suche gałęzie i takie płaty wykrojonej murawy, jakiemi ogrodnik wiejski pokrywa niekiedy ławki, z ziemi bite. Lepianka otwierała się od strony murawy i zatoki, a tym otworem, licho zbitemi drzwiami, wychodził ów dymek błękitnawy, który mi wskazał jej istnienie. Sieci wisiały przed chatą na brzozie, a chcąc poznać mieszkańców tego pierwotnego domu, spuściłem się ku niemu po pochyłości grobli.

W ciemności chaty, ledwo oświeconej szczelinami dachu i otworem drzwi, błyszczał na ognisku zaraz przy wejściu ogień dość jasny, a głąb izby gubił się w pewnym rodzaju jaskini, wykopanej w ziemi. Gdy wszedłem, jakaś postać, która siedziała tam na pieńku sosnowym, zerwała się szybko z miejsca i podeszła ku mnie. Była to wysmukła dziewczyna, mogąca mieć lat szesnaście, siedmnaście może, ubrana w podartą koszulę, resztę zaś ubrania stanowiła uboga, krótka spódniczka też poszarpana w strzępy aż do kolan. Mimo tego dziewczyna postąpiła ku mnie do progu, zapominając przez przyzwyczajenie, jak mało okrywała nędzna odzież wychudłe jej kształty. Z drobnej twarzyczki okrągłej, typowo irlandzkiej, z małym noskiem nieco zadartym, para dużych oczu łagodnych i jasnych, spojrzała na mnie ciekawie. Uśmiechnęła się w odpowiedzi na mój ukłon, a z małych różowych ustek błysnęły dwa rzędy ząbków, jak perełki białych. Włosy ciemnoblond, wymykające się na skronie dwoma grubymi promieniami, były zebrane z tyłu w jakiś wielki węzeł, źle je powstrzymujący, gdyż połowa spływała na białą, odkrytą szyjkę. Policzki były bladawe i lekko zaklęśnięte, co psuło nieco naturalnie okrągłą linję konturu, nadając przecież twarzy niewypowiedzenie wdzięczny wyraz.

— Obcy! cudzy! — wykrzyknęła, spojrzawszy już z bliska na mnie, a wzrok jej zmierzył mnie od stóp do głowy.

— Przybywam z bardzo daleka — odparłem, znając już przyczynę tego wstrętu, który miałem czas zbadać w charakterze Irlandczyków — z krainy bardzo odległej. Chciałem widzić wielkie jezioro *Czarnej wody*.

— Laugh Neagh jest niewątpliwie najpiękniejszem jeziorem na świecie — odparła mi poważna i już ułagodzona.

— Bezwątpienia — rzekłem poważnie i korzystając z zaprosin wszedłem do chaty. Wzrok nie widział przed sobą nic prócz ciemności, co przypisywałem z początku szybkiemu przejściu od światła dziennego do zmroku, lecz w krótce przekonałem się, że chata, czy jaskinia nie zawierała żadnych sprzętów ani naczyń gospodarskich. W głębi było posłanie z siana i liści suchych, dalej pieniek drzewa na którym dziewczę znowu siadło, wielki kamień, który mnie wskazała za siedzenie — przy ogniu kociołek i jeden talerz porcelanowy, zabłąkany tu, Bóg wie jakim sposobem, a schowany w szczelinę dachu — oto cały inwentarz gospodarski.

— Czy tu mieszkasz, miss? — zapytałem, dodając przecież zaraz, że pytanie moje zrobionem jest jedynie z chęci dowiedzenia się, czy to jej gościem jestem właściwie.

— Tak — odparła z wrodzonym wdziękiem irlandzkich kobiet, jest to dom mego ojca, Dicka O'Neil, będącego obecnie na jeziorze. Ja, do usług Waszej Dostojności, nazywam się Honnora O'Neil.

— Bardzo mnie przyjemnie poznać miss Honnorę O'Neil — rzekłem, kłaniając się mojej gospodyni.

— Grzeczny pan jesteś — rzekła — powtarzając też moje skinienie głowy. Ręce trzymała założone na kolana i kołysała się lekko na swojem siedzeniu bez oparcia.

— Więc jesteś pan z bardzo daleka? — zapytała. — Któż panu powiedział o nas, gdzie o nas słyszałeś?

— I w moim kraju i w innych jeszcze — ludzie wiedzą o O'Neilach — rzekłem.

Dziewczyna patrzyła na mnie ze wspaniałym spokojem.

— O'Neilowie panowali niegdyś nad bardzo potężną krainą — rzekła. — Cały Ulster był pod ich władzą. Wszyscy, którzy się zowią O'Neil, pochodzą z jednego szczepu, tylko lord zamku jest z rodu najstarszego królewicza — oto cała różnica...

W tej chwili kociołek na ogniu zaczął kipieć, wylewając płyn czerniawy na syczący ogień. Dziewczyna z krwi królewskiej skoczyła i odstawiła go od płomienia, chwytając kociołek przez spodnicę. Mimo to oparzyła sobie palce, ale nie zdawała się na to zważać.

— Ach! święty Patryku! — zawołała. — Mogło było wszystko wykipieć i byłby post przez trzy dni. Dzięki wszystkim świętym irlandzkim, żem na czas porwała.

Ta gorąca modlitwa dziękczynienia, wyrywająca się z ust, tak spokojnie i dumnie mówiących o królewskich przodkach, była dziwnie wzruszającą. Ale Honnora O'Neil uspokoiła się prędko, siadła znowu i zapytała:

— A czy wiesz pan jakim sposobem ród O'Neilów zdobył sobie królewstwo Ulsteru?

— Nie — odparłem. — Przyznaję ze wstydem, że tego nie wiem.

— Więc panu to powiem — rzekła z wdziękiem łaskawym. — Niegdyś — tak dawno, że niktby tego nie zliczył — pierwsi ludzie, którzy tu przybyli, spotkali króla.

— Jakto? — zapytałem — mówisz, miss, że ludzie przybywający byli pierwsi, a dodajesz, że spotkali króla?

— Tak — odrzekła spokojnie — spotkali króla... Król powiedział, że da temu królestwo Ulsteru, kto pierwszy dotknie lądu. Ponieważ płynęli morzem, więc wszyscy zaczęli co tchu wiosłować, bo każdy chciał dostać królestwo i O'Neil, który też spieszył, zaczął się bać, że go wyprzedzą. Cóż więc robi, aby został królem? Wyciąga miecz, ucina nim rękę i ciska ją na brzeg. Został królem, a my pochodzimy od niego...

Honnora patrzyła na mnie, śledząc wzrokiem wrażenia.

— Bardzo piękna historja — rzekłem, pragnąc jej coś powiedzieć...

— Najpiękniejsza w świecie! — zawołała. — Najpiękniejsza a prawdziwa... Jest na to dowód: lord O'Neil ma w herbie nad zamkiem rękę... My wszyscy jesteśmy tego samego herbu, moglibyśmy go używać, tylko że nie używamy.

Mimowoli spojrzałem na nagie ściany lepianki, a potem na dziewczynę, której czoło się podniosło i chociaż rzeczywistość pozostawała w bolesnej sprzeczności z legendą, patrzyłem z przyjemnością na rumieniec, którym rozgorzały jej lica. Otaczała ją jakaś aureola jasności. (D. n.)



Z obcej niwy.

(Ciąg dalszy.)

W. Garszyn ur. 1855 r. — i jako syn wojskowego, w latach dziecinnych przenosił się wciąż z miejsca na miejsce. Stosunki domowe były w rodzinie jego bardzo nieszczęśliwe, co wywoływało w młodych już latach pisarza — skłonność do melancholji. Cierpienie to wybuchło zwłaszcza, kiedy Garszyn miał lat 17, skutkiem czego pomieszczono go w domu zdrowia, gdzie przesiedział 3 lata. Uczył się dobrze, a jako młodzieniec wrażliwy i czuły, bardzo kochany był wśród młodzieży. Wyznawał on najdalej idące pojęcia społeczne i długo był pod wpływem Czernyszewskiego: w r. 1877 wzięty został do wojska i odbył kampanję turecką. Tu w jednej z bitw zginął jego towarzysz i cztery dni leżał i gnił na polu, wypadek ten obudził w Garszynie twórczość — i pt. C z t e r y d n i wyszła pierwsza jego nowela, za którą posypały się inne. Okropności wojny utrwaliły w Garszynie jego pojęcia antiwojenne — i na tle tej natury melancholicznej rozwinęły tkliwość może nadmiernie wrażliwą na cierpienia ludzkie. Koło r. 1881 na nowo dręczyć go poczęła choroba duchowa — i między innemi głośnem było w Rosji, że Garszyn po zamachu na hr. Loris-Melikowa poszedł do niego w nocy, chcąc go przekonać o potrzebie „wszechprzebaczenia“. Rozdwojone, a niezmiernie czułe, serce poety — ubolewało zarówno nad sprawcą zamachu, jak i nad jego ofiarą. Ten postępek jest charakterystyczny dla Garszyna, gdyż taką samą dwustronną tkliwość znajdziemy u niego wszędzie. Garszyn miał w sobie coś Hamletowskiego — i bardzo chętnie dzielił on ludzi na Hamletów i Laertesów. Sympatje jego były zawsze po stronie tych męczenników woli, smutnych i przez życiowe koła potratowanych marzycieli, którzy wiekuiście rozdwojeni walką wewnętrzną — są zanadto wraźliwi, aby wywołać w sobie jakąś wyrazistą i bezwzględną decyzję. Przeciwnie c a ł k o w i t e dusze Laertesów — to dla niego istoty ograniczone i podławe zazwyczaj. To też swych rozdwojonych więźniów życia ziemskiego — stawiał on zwykle w położeniach tragicznych, jakby u brzegu śmierci; Laertesy przeciwnie zdobywali sobie spokój i powodzenie.

W. Garszyn nie miał nigdy spokoju. Jeden tylko rok w życiu, rok poślubny, był nader szczęśliwy. Lecz już po roku na nowo zaczęły go nawiedzać ataki chorobliwe, — w jednym z takich ataków rzucił się z okna na ulicę — i zabił się na miejscu w r. 1888.

Wielki talent Garszyna — melancholją podsycony — sprawił w literaturze rosyjskiej tego rodzaju przemianę, że miejsce psychologji społecznej zajęła psychologja jednostkowa. Bo choć Garszyn wyznawał pewne bieżące doktryny społeczne, ale w jego sercu przetworzyły się one w czysty kult miłosierdzia i człowieństwa, bez pragnienia określonych reform. Po prostu mówiąc, W. Garszyn był zbyt artystą, aby się oddać zamkniętym teorjom społecznym.

Bohaterem Garszyna jest zawsze rodzaj Hamleta, którego ideały są w sprzeczności z życiem rzeczywistem. Rozum i uczucia były w ciągłej walce ze sobą w jego duszy. Wojna — jak wiemy — była punktem wyjścia twórczości Garszyna — i wojna stanowiła dla niego probierz walki rozumu z uczuciem, walki bez rozwiązania. Taki temat rozwijają: Cztery dni, Tchórz, Wspomnienia szeregowca Iwanowa.

Logika rozumu nakazuje wojnę, uczucie walczy przeciw jej okropności. W C z t e r e c h d n i a c h leży na polu bitwy, w krzakach żołnierz ranny, zazapomniany, obok Turka, którego zabił przed chwilą — i który gnić już zaczyna; zmęczony upływem krwi, pożerany pragnieniem i rozpaczą — rozważać zaczyna, jak bezmyślną jest wojna, a zwłaszcza to zabójstwo, którego on tam dokonał na Turku. — T c h ó r z — ma organiczną nienawiść do wojny; dreszcz go przenika, gdy czyta w depeszy: zginęło tylu a tylu ludzi. Nie egoizm w nim działa, bo owszem sam nieraz się poświęcał — i wykazał odwagę. Po prostu uczucie jego wojną gardzi. Mając wpływowych znajomych, mógłby się uwolnić od wojny, a jednak nie czyni tego. Myśl, że on siedziałby spokojnie w domu, gdy inni będą ginęli — każe mu iść na wojnę. — Idzie bez entuzjazmu i ze wstrętem, ale idzie. — W e w s p o m n i e n i a c h s z e r e g o w c a — i sam żołnierz Iwanow, który wstąpił do wojska jako ochotnik, dochodzi do pojęcia o bezmyślności wojny i oficer Wencel, który przed bitwą rzuca się, jak zwierz, a po stracie 52 ludzi, po bitwie wprost szaleje z rozpaczy. — Przed wojną Wencel jest pod panowaniem rozumu, formy, tradycji, dyscypliny; ale przy pierwszem zetknięciu się z rzeczywistością występuje na jaw cała jego dwoistość. Taką samą dwoistość mamy w nowelach Garszyna: N a d i e ż d a N i k o ł a j e w n a, Z d a r z e n i e, N o c. — Nadieżda jest to dziewczyna upadła, lecz dobra; żyje z nią niejaki Bezsonow, człowiek ciągle zamierzający ją podnieść, ale nie mający siły, by zwalczyć w sobie wpływ pojęć utartych o kobiecie upadłej. Kocha Na-

dieżdę, ale w jego miłości jest pogarda: kobieta zmęczyła się tą pogardą — i gdy spotyka człowieka silnego — idze za nim, bo w nim widzi podporę ku swej poprawie. Wtedy dopiero Bezsonow odczuł stratę: zastrzelił Nadieżdę, a sam zginął, zabity przez nowego jej kochanka. — W Z d a r z e n i u bohaterka jest kobietą tegoż typu — i ona tu jest przedmiotem analizy pisarza. Spotyka ona człowieka, który ją kocha, ale nie może przełamać w sobie nieufności rozumowej i odkryć mu swe serce, zdolne kochać czystą miłością. Najtragiczniejsza jest N o c, gdzie Aleksy Pietrowicz pod wpływem rozpaczy zamierza sobie życie odebrać. Całą noc rozmyśla o swem życiu i spowiada się przed sobą. Wszystko jest kłamstwen i złudzeniem, i on sam i całe jego życie. Cierpiał na samouwielbienie, a teraz, robiąc rachunek sumienia, przekonywa się, że był niczem, i że niegodzien istnieć. Dzwon kościelny budzi go z tej zadumy: przypomina mu lata dziecinne — i cierpienia ludzkie... I oto niedoszły samobójca zrozumiał, że przeżył życie w egoizmie — i że powinien się od egoizmu tego wyzwolić. — Za późno jednak zrozumiał tę sprawę; nowe wino nie mogło się w starym miechu utrzymać; Aleksemu serce pękło — i nim noc upłynęła, umiera.

To samo rozdwojenie, jakie panuje w jednostce, Wsiewołod Garszyn dostrzega w psychice społecznej; brak jednostki, brak solidarności, rozkład i rozpierzchnięcie sił — oto świat dzisiejszy. Na ten temat ułożył Garszyn dwie bajki: A t t a l e a p r i n c e p s i T o, c z e g o n i e b y ł o. Są to utwory symboliczne.

A t t a l e a p r i n c e p s — palma brazylijska — rosła wraz z innemi kwiatami w cieplarni. Było tam światła za mało i było tam tak ciasno, że korzenie roślin zabierały sobie nawzajem wilgoć i pokarm. I oto palma wzywa kwiaty, aby złączywszy siły swe w jedność, zburzyć duszną cieplarnię; ale głos jej przeszedł bez echa; tylko mała trawka, u jej stóp rosnąca, odezwała się. Wtedy Attalea princeps postanowiła sama dzieło swe wykonać, szybko zaczęła rość do góry i rozbiła szkło. Ale na dworze była niepogoda — i nieszczęsna palma chciałaby próżno wrócić pod dach. Palmę jednak zrąbali, gdyż swą wolnomyślnością przyniosła ona szkodę powszechną, a z nią razem wyrwano i młodą trawkę. Allegorja tu dwuznaczna: z jednej strony brak jedności społecznej uniemożliwia jakiekolwiek działanie wspólne; z drugiej — istota wyższa, palma dążąca ku górze — zginąć musi, jako niedostosowana do niskich warunków. (C. d. n.)

O Nietzschem.

(Dr. Jan Vaihinger: Filozofja Nietzschego przełożył dr. Kazimierz Twardowski. Lwów 1904 nakładem księgarni H. Altenberga).

O Nietzschem, z powodu Nietzschego, na podstawie jego dzieł i myśli pisano bardzo wiele. Cały gmach literatury najnowszej, modernistycznej spoczywa na barkach tego tytana myśli, a z nim razem to wszystko, co dzisiejsze czasy rozpłomienia i mierzi, podnosi i upadla. Ale przystęp do tego źródła najmłodszej myśli trudny jest dla pospolitej masy ludzkiej. Co prawda, twórca ideału „nadczłowieka“ nie pisał dla tych, „których o wiele.... za wiele“ dla pospólstwa, którem gardził z całej głębi swojej duszy, mimo to jednak wyjaśnienia i usystemizowania filozoficznych teorji Nietschego słusznie domagała się wiedza popularna, dla „przeciętnych“ przeznaczona ludzi. Potrzebie tej czyni zadość książeczka, u góry wymieniona, której celem „podanie bezstronnego rozbioru zasadniczych myśli Nietzschego i powiązanie ich w całość zaokrągloną“. Jak wiadomo nie stworzył Nietzsche ścisłego systematu filozofji, ale myśli swoje rozrzucał z pozornym bezładem w formie aforyzmów, lub wreszcie omawiając poszczególne kwestje w różnych miejscach dzieł swoich.

Rozpatrując pytanie, dlaczego filozofja Nietzschego tak wielki wywarła wpływ na umysłowość czasów najnowszych, przychodzi autor do przekonania, że czarem, który działa na wielu jest forma. Nietzsche jest pierwszorzędnym artystą stylu i stylem swym olśniewa niektórych tak dalece, że bez zastrzeżeń przyklaskują także treści. Drugim czynnikiem jest w tym względzie namiętność, z którą przemawia, podmiotowe zabarwienie, które wszystkiemu nadaje, słowem temperament; — trzecim wreszcie czynnikiem jest pierwiastek symbolistyczny, dzięki któremu Nietzsche doskonale dostraja się do pewnych prądów literatury współczesnej.

Niezależnie od formy, sprowadza autor treść pism Nietzschego do siedmiu znamiennych rysów, będących negacją tyluż właśnie podstaw myśli filozoficznej, zburzeniem tyluż autorytetów. Cechy te filozofji Nietzschego, względnie tendencje są następujące: antimoralistyczna, antisocjalistyczna, antidemokratyczna, antifeministyczna, antiintelektualistyczna, antipesymistyczna, antireligijna.

Wywodzi dalej autor, że te wszystkie teorje Nietzschego są niczem innem, jak tylko nauką Szoppenhauera o woli nieskrępowanej niczem, odwróconą dodatkiem pierwiastku pozytywnego pod

wpływem darwinowskiej „walki o byt“. Wola nie przedstawia mu się pesymistycznie, jak u Szoppenhauera, jako wola ślepa, nieszczęsna, łaknąca wybawienia, ale jako wola, radująca się życiem, pragnąca mocy. Ta żądza mocy jest zasadniczym popędem instynktowym wszystkich istot żyjących i ona to wywołuje walkę i starcia. W tej walce upatrywał właśnie Szoppenhauer panujące w świecie zło, od którego wybawić może ludzkość jedynie sztuka lub askeza. Nietzsche natomiast upatruje w tej walce o moc i potęgę zasadę rozwoju wszelkiej kultury, zupełnie tak samo, jak u Darwina walka o byt jest warunkiem wszelkiego wyższego rozwoju organizmów. Przyroda chce, aby zwyciężali silniejsi i doskonali gatunki tem, że silniejsi zwyciężają, a słabsi giną. Nietzsche wielbi z dytyrambicznym polotem to prawo, którego okrucieństwo ma w sobie według niego coś podniosłego i podnoszącego.

Taka jest synteza filozofji Nietzschego według pojęcia autora niniejszej książki. Że ja wyłożył jasno i przystępnie, a uzasadnił z całą niemiecką pedanterją i sumiennością, to czyni książkę bardzo dobrym podręcznikiem, niejako wstępem do lektury samych pism Nietzschego, podczas gdy znowu bardzo dobre tłumaczenie jej na język polski, czyni ją dobrym nabytkiem dla szczupłej naszej literatury filozoficznej. *F. J.*

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Józef Mirski: Tajemnice. Lwów — Księgarnia Polska. Warszawa — E. Wende i Sp.*

Wśród licznych tomików poezyj, jakie się ostatnimi czasy ukazały na półkach księgarskich — „Tajemnice“ p. Mirskiego wyróżniają się nie tyle może oryginalnością pomysłów, ile wypowiedzeniem ich. Motywy przeważnie stare — często zapożyczane u Kasprowicza, Staffa i innych wybitnych poetów naszych; są one jednak owiane dziwnym czarem. Działa tu może bajeczna moc słowa, z którem p. Mirski walczy, przeciwko któremu nawet grzeszy niebacznie. Ale p. Mirski pokona słowo — świadczy o tem świetny cykl wierszy p. t. „Z chłopskiej duszy“, zwłaszcza „Wesele“ i „Pieśń o pszczole“. Na p. Mirskim mści się przygoda romantyków niemieckich: poeta chce zlać poezję z muzyką. Twardy trud. Pan Mirski grzeszy niemuzykalnością formy — a widocznie przecie, że kocha muzykę; wszak pod wpływem pośrednim czy bezpośrednim — mniejsza o to — pod wpływem tonów muzyki Chopina tworzy... Prawie wszędy na niego się powołuje... Dziwna przygoda...

Fel. Gw.

Artur Schnitzler: Lalki. Brody. Nakład F. Westa. Warszawa — E. Wende i Sp.

Schnitzler nie jest obcym naszemu społeczeństwu. Jego ciekawe historje denerwowały już porządnych ludzi z desek tak lwowskiego, jak i krakowskiego teatru. Świeżo nawet wyszło po polsku dziesięć jego djalogów p. t. „Taniec miłości i życie“, kto ciekawy, niech sobie... przeczyta. — Właśnie przeczytałem „Lalki“ wiedeńskiego poety w tłómaczeniu G. Baumfelda. „Lalkami“ oczywiście my — bawią się nami różni „samotnicy wśród tłumu“, ludzie, którzy pojmują życie, którzy wierzą, że wszystko co jest, istnieje ku ich pożytecznej zabawie. Jerzy Merklin, bohater jednoaktówki Schnitzlera, to człowiek, który „kiełkuje“ dopiero, człowiek z pobłażającym uśmiechem na twarzy, dobry i piękny... A zarzutkę ma wytartą, kołnierzyka z pewnością nie ma — żyje skromnie. *(Tajemnica*: raz napisał dramat...) Teraz, pod pseudonimem zarabia felietonami na chleb... Podobno felietony jego „zwracają uwagę“... Widzę uśmiech Merklina i zasępione twarze „Lalek“...

Tłómaczenie p. Baumfelda niepozbawione pewnych usterek językowych. Korrekta niedbała. Trzeba żapobiedz temu, zwłaszcza, że każdy wita życzliwie nowy tomik, który się ukazuje w wydawnictwie tak „Arcydzieł naszej i obcej literatury“, jakoteż „Bibljoteki pisarzy nowoczesnych“, wydawanej przez p. Westa.

Fel. Gw.

PISMA. W ostatnim (za sierpień 1904) zeszycie *„Przeglądu Polskiego“* znajdujemy ciekawą pracę historyczną p. Adama Darowskiego pt. „Otoczenie Bony Sforzy“. Jest to raczej galerja osób, które przewinęły się koło postaci Bony Sforzy, żony Zygmunta I. w czasie, gdy ta wyrasta już na pannę, aż do chwili małżeństwa, a przemieszkiwała w Castel Capuano w Neapolu. Barwny ten i żywo napisany szkic historyczny z epoki renesansu, ozdobiony jest kilku rycinami, na czele których stoi portret samejże Bony według drzeworytu z kroniki Miechowity z r. 1522, a dalej Jana Galeazzo Sforza i Izabeli Aragońskiej, margrabiego Kazimierza Brandenburskiego, Prospera Colonny i t. d.

NOTATKI. *Pierwsze druki litewskie.* Jako pierwszy druk litewski, czcionkami łacińskiemi, w myśl zniesionego zakazu, drukowany, wymienić należy sprawozdanie z czynności Towarzystwa spożywczego w Telszach. Wogóle zniesienie zakazu drukowania książek litewskich czcionkami łacińskiemi, przyczyniło się do rozbudzenia litewskiego ruchu wydawniczego, który ujawnia się na razie przedrukiem starych modlitewników, kantyczek i spiewników ludowych. Nadto angielskie towarzystwo biblijne postanowiło wydać biblję gotykiem w języku litewskim, oznaczywszy cenę rubla za egzemplarz.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.